

PLUSZOWY MIŚ

Copyright © 2020
Damian Jackowiak
Wydawnictwo NieZwykłe
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Anna Wasińska
Korekta:
Justyna Nowak
Agnieszka Sajdyk
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-275-3

DAMIAN JACKOWIAK

PLUSZOWY MIŚ

OŚWIĘCIM 2020

*Obok zbrodni to bezczynność jest
najgorszym z ludzkich grzechów.*



Prolog

Każdy policjant ma taką sprawę. Tę jedną, która nie daje spać po nocach i ciągle woła z zakamarków umysłu. Tę jedną porażkę, przez którą nie da się odejść spokojnie na emeryturę. I właśnie taka sprawa zepsuła mi całe prywatne życie, wszystkie związki, relacje z dziećmi i byłymi żonami. To właśnie przez nią obgryzam paznokcie, patrząc po raz setny na te same zdjęcia, te same artykuły, szukając jakiegoś szczegółu, który by wszystko wyjaśnił. To przez nią leży na podłodze kolejna pusta już flaszka, a obok porozrzucane napoczęte paczki fajek. To właśnie to dochodzenie, to niedokończony śledztwo sprawia, że zamiast zwinąć diler, którego numer zapisałem w telefonie, dzwoniłem do niego po następną plastikową torebkę z białym proszkiem.

Każdy policjant ma taką sprawę, przez którą boi się zasnąć – tak bardzo, jak brzydzi się swojego odbicia w lustrze.

Ja również mam taką. Sprzed niemalże dwudziestu pięciu lat. *Zabawkarz*, to on prześladował mnie przez cały ten okres. Nie byłem żółtodziobem, nie. Miałem już za sobą kilka sukcesów. Arogancja młodzika, parcie na szkło, kariera. Czas pokazał, że to gówno warte. Wtedy było inaczej, ale czy to jest usprawiedliwienie? Wszyscy tak robili, przecież wszyscy tak robili! Liczyły się statystyki, a nie sprawiedliwość. Niezbyt to heroiczne, prawda? Lecz takie były realia. Wystarczyła poszlaka, by wsadzić kogoś do więzienia. Prokuratura, sądy, policja – działaliśmy w jednym kręgu zaufania. Nie liczyło się, kto jest winny, a kto nie. Bo czy kiedykolwiek tak naprawdę ma to znaczenie? Ręka rękę myje. Ja kryję ciebie, ty kryjesz mnie. Proste.

Autentycznie proste. Znaleźliśmy schemat: dwie ofiary zamordowane w identyczny sposób, a tylko jeden nad wyraz oczywisty sprawca. Po co czekać? Po co zbierać inne dowody, szukać poszlak? Społeczeństwo domagało się głowy, więc my ją dostarczyliśmy. Czy to naprawdę takie złe? Wprowadzić spokój do społeczności za cenę zaledwie jednego życia? Prosty rachunek, czyż nie? Większy obrazek. Życie jednostki jest niczym w porównaniu z życiem wielu. Prawda?

Dlaczego zatem nadal nie mogę spać – po tylu latach? Dlaczego, gdy kazano odwrócić wzrok, zrobiłem to i nie czułem się z tym źle? Powinienem zgłosić, że pojawiły się kolejne zwłoki, kolejna zamordowana w taki sam sposób ofiara. Wykonaliśmy rozkaz. Naśladowca. Jedynie my wiedzieliśmy, że to kit. Jedynie my, no i ten człowiek w celi. Zginęło troje dzieci. W dodatku rzuciliśmy na pożarcie niewinnego człowieka – ukradliśmy Temidzie wagę i zdarliśmy opaskę z jej oczu, by wskazać winnego. Spójrz, bogini sprawiedliwości: to on, to on.

Więzienie jest przedziwnym miejscem. Pełnym szumowin, gangsterów, złodziei i drobnych rzezimieszków, ale zgadnijcie, jaki kodeks kieruje każdym z nich. „Nigdy nie krzywdzimy dzieci, dzieci są nietykalne”. Co może więc stać się z człowiekiem zesłanym między drapieżne bestie, człowiekiem, który został skazany za zbrodnię tak ohydną, że nawet najgorsi z najgorszych takich nie tolerują? Piekło, czeka go piekło. Jeśli przeżyje. Dwa-dzieścia pięć lat piekła wyłącznie dlatego, że policja i prokurator wymusili przyznanie się do winy. Oto co mogą zdziałać pięści i dwie noce w areszcie z ambitnymi policjantami. Właśnie to. Człowiek jest tak wyczerpany psychicznie i fizycznie, że przyznałby się do wszystkiego, czego byśmy tylko chcieli.

Przesłuchania. Nigdy ich nie lubiłem. Gra w dobrego i złego glinę nie była dla mnie, ale nie musiała być. Mogłem spokojnie patrzeć na wyręczających mnie policjantów, specjalistów od rozmów, gdyż to po drugiej stronie trzeba być twardym, to tam nie

można pęknąć. Tyle że on pękł. Przyznał się, a wystarczyło wytrzymać do procesu. Wiedzieliśmy, że zeznania są nieprawdziwe. Lecz kogo to obchodziło? Zadanie wykonane. Piekło dla niego, kariera dla nas. Zapewne te dwie noce w areszcie, w porównaniu z latami w pierdlu, wydają się dla niego niczym. Cóż, sam się przyznał, jego wina. Wystarczyło wytrzymać do procesu.

Sprawiedliwość nie jest najważniejsza, nigdy nie była.

A gdzie jest prawdziwy Zabawkarz? Gdzie jest ten popieprzony skurwiel?

Kogo to obchodzi, skoro po trzeciej ofierze nastąpiła cisza? Nie było więcej zwłok, nie było zgłoszeń o zaginionych dzieciach, a media wreszcie dały sobie spokój. Może więźniowie też, może...

Wampir z Bytomia, Skorpion z Pomorza – w Drugiej Rzeczpospolitej pojawiło się ich zbyt wielu. Nigdy nie sądziłem, że transformacja ustroju przyniesie nam Zabawkarza z Pobiedzisk. I kto wymyśla te pseudonimy? Czasem dochodzę do wniosku, że przydałby się ktoś, kto oczyściłby ten kraj z ludzkich śmieci, nawet jeśli miałyby to być człowiek w kostiumie z elastanu. Ulice wciąż wypluwają podejrzany element, a nigdy – by wyrównać szanse – bohatera. To przykre, ale taka jest rzeczywistość. Zostaliśmy sami.

Dwadzieścia pięć lat byłem nękany demonami przeszłości. Aż w końcu mnie dopadły. Wezwanie do stawienia się na przesłuchanie. Jeden skrawek papieru może wywołać lawinę, którą nie sposób zatrzymać. Nagle prokurator generalny nakazał sprawdzanie kontrowersyjnie rozstrzygniętych spraw. Tych, które wzbudzały emocje i protesty. I stąd ten papier. Mają przesłuchać wszystkich związanych z tamtą sprawą, z Zabawkarzem. Dlaczego? Z powodu niewystarczająco twardych dowodów. Kurwa, serio? A były w ogóle jakieś? To jasne i dla mnie, i dla reszty ludzi powiązanych z tym śledztwem, że oskarżony opuści więzienie. Nawet jeśli wrobiliśmy niewinnego człowieka, nawet jeśli nie był Zabawkarzem, to, do kurwy nędzy, osoba, która przeżyła

tam tyle czasu... zdążyła stać się zbrodniarzem. To jednak nie jest najgorsze. Oddanie zwykłego zjadacza chleba w ręce największych mend oraz jego przemiana w ludzki wrak może nie być tym, co najgorsze. Uwierzcie mi, nie jest. Wiem coś o tym. Kiedy niewinny człowiek siedzi za kratami, musi walczyć o swoje wyjście. Niestety łatwo jest wsadzić kogoś do więzienia, lecz trudno go z niego wyciągnąć, nawet gdy prawda próbuje wypełznąć na jaw. Miną miesiące, zanim wyjdzie na wolność, zanim znów będę mógł go oskarżyć. Najgorsze jest to, co zobaczyłem dzień po otrzymaniu wezwania na przesłuchanie.

On wrócił. Zabawkarz wrócił do Pobiedzisk. Człowiek, którego złamało więzienie, maltretowany, bity, gwałcony, w końcu pękł i stał się tym, za kogo go uważano. Zaakceptował potwora, którego mu wmówiliśmy.

I gdyby tylko żył na wolności, byłby oczywistym tropem, ale on siedział, on jeszcze siedział. A to oznaczało wyłącznie jedno: prawdziwy Zabawkarz postanowił wrócić. Po dwudziestu pięciu latach...

Dlaczego teraz?



Rozdział 1

DEMONY PRZESZŁOŚCI

– Kurwa...

Otworzył oczy, trzęsąc się z zimna. Kołdra była cienka, a ostatnie noce chłodne – wreszcie zawitała do Polski ta złota jesień, o której wszyscy tyle mówili. Na dworze panowała jeszcze ciemność. Mógłby to być równie dobrze poranek, jak i noc, słońce bowiem nie wstawało zbyt szybko.

Skulił się pod kołdrą, chcąc na siłę przedłużyć sen, lecz ten nie powrócił. W końcu wymacał leżący na parapecie, przy którym miał ustawione łóżko, telefon. Palce poczuły chłód przedzierającego się z zewnątrz powietrza.

– Kurwa mać! – krzyknął do poduszki, kiedy pomimo kilkakrotnego wciskania przycisku ekran telefonu się nie zaświecił. Komórka była rozładowana.

Nie miał wyboru. Owinął się kołdrą i wstał. Na nogi włożył znoszone już kaptcie z podeszwą cienką niczym kartka papieru. Brakowało mu siły, by iść, więc szurał nogami, przemierzając pomieszczenie aż do drzwi, gdzie zostawił ładowarkę. Tam również znajdowało się jedyne wolne gniazdko, tak w pokoju, jak i w całym mieszkaniu. Umiejscowione zostało w kącie przy futrynie, co uważał za najwyższy szczyt głupoty. Gdyby tylko wiedział, kto jest za to odpowiedzialny, wsadziłby go do aresztu.

Nosił imię Feliks. Przez większość życia go nie cierpiał, ale teraz, kiedy czas zaczął go doganiać, przestało mu przeszkadzać.

Człowiek z wiekiem potrafi przyzwyczać się do wszystkiego – to powszechna umiejętność – od błahych spraw po najtragiczniejsze wydarzenia na świecie. Ze starością przychodzi zmęczenie, z nim natomiast obojętność. To, co kiedyś denerwowało, dziś nie ma znaczenia.

Był policjantem. Miał za sobą trzydziestopięcioletnią służbę, a jako jeden ze starych wyjadaczy nie chciał przejść na emeryturę. Urodził się gliniarzem i chciał nim umrzeć. Najbardziej związa-ny czuł się właśnie z tą częścią swojego życia. Choć w zasadzie innej nie było. Do służby wstąpił w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, mając dwadzieścia osiem lat, po studiach i trzyletniej pracy w budowlance. Potem dwa lata pracował w Łodzi. Tam szybko zdobył zaufanie i uznanie przełożonych. Nie musiał długo czekać, aby znaleźć się w Warszawie, gdzie został przeniesiony na prośbę jednego z ówczesnych komendantów. Dzięki wykształceniu, a przy tym ponadprzeciętnej inteligencji i – co najważniejsze – umiejętności czytania ludzkiego charakteru, szybko piął się po szczeblach kariery. Jego moralność w obliczu wielkiej ambicji wydawała się niepotrzebna, dlatego nie zwracał na nią zbyt wielkiej uwagi. Chociaż nie był fanem metod, które stosował aparat bezpieczeństwa PRL-u, nie przeszkadzało mu to aż tak bardzo, by nie stać się częścią systemu.

Nie do końca był pewien, jak udało mu się przebrnąć przez te wszystkie lata, na nikogo nie donosząc, w dodatku awansując przy każdej możliwej okazji. Nie, dobrze to wiedział. Miał jeden talent, dar. Bardzo cenny. Dzięki niemu otrzymał nawet ksywkę – Kozioł. Pomimo że był świetnym milicjantem z wydziału kryminalno-śledczego, od razu, gdy otrzymywał polecenie znalezienia kogoś pasującego na sprawcę, bez trudu go znajdował. Był tym, który dostarczał idealnego kozła ofiarnego, to był jego dar. Często łapał prawdziwych zbrodniarzy, lecz czasem mieli pozostać na wolności. Takie były rozkazy, a w tamtych czasach

każdy je skwapliwie wypełniał, zwłaszcza kiedy pochodziły z samej góry, i to nie tej w komendzie głównej.

Nie było ich wielu, zaledwie piątka poszła siedzieć za czyny, których nie popełniła. Piątka ludzi wystarczyła, by stał się ważną figurą jeszcze przed transformacją ustrojową w kraju. Gdy tylko udało mu się przejść lustrację, znalazł się w pociągu do Poznania. Jechał do miasta, w którym miał zacząć pracę na rzecz świeżo powołanej służby – policji.

Niełatwo odnaleźć się w nowej rzeczywistości, ale jemu nie sprawiło to trudności. Czytał ludzi, dzięki czemu bez problemu mógł wpasować się w nieznaną otoczenie. Nie zmieniono mu wydziału, nadal miał zajmować się sprawami kryminalnymi, których wówczas nie brakowało. Jedyne, co nie potoczyło się po jego myśli, to przydzielony partner. Choć ściślej mówiąc – on był przydzielonym partnerem, natomiast jego bezpośrednim przełożonym została kobieta.

Macając ścianę, doszedł do zamkniętych drzwi. Przykląkł, by odszukać leżącą gdzieś w pobliżu ładowarkę. Nie zapalał światła, bo nie chciał ryzykować, że się rozbudzi; w końcu nie był nawet pewien, która była godzina. Złapał cienki kabel, którego końcówkę wcisnął do telefonu. Jeszcze tylko gniazdko. Badał ścianę nad listwą i znalazł. Podłączył komórkę do prądu. Ekran zaświecił jasnym kolorem. Czekając, aż pokaże się na nim godzina, oparł się o ścianę i swobodnie opadł na podłogę.

Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Dopiero teraz zaczął dostrzegać delikatne smugi światła ulicznych latarni, wpadające pomiędzy listwami niezaciągniętej do końca żaluzji. Nagle do niego dotarło, że widzi wszystko tak szczegółowo, jakby za oknem panował już dzień, a przecież nadal było ciemno. Żółtoblade światło wdzierało się do pokoju, odkrywając jego skromne wyposażenie. Mężczyzna rozejrzał się po małym pomieszczeniu. Za każdym razem, gdy to robił, na pocieszenie myślał: „Ciasne, ale własne”.

Znajdowało się tutaj jednoosobowe łóżko, idealnie wpasowane – po obu stronach zostało niecałe pięć centymetrów do ściany. Stało przy oknie, pod którym wisiał także wąski kaloryfer, ten stary, żeliwny. Od drzwi do łóżka było pięć niewielkich kroków; niezbyt to duża przestrzeń dla wystroju wnętrza. Chcąc nie chcąc, Feliks stał się minimalistą. W pokoju zmieścił jeszcze małe biurko, ustawił je tuż przy łóżku, obok którego leżały porozrzucane książki. Nie znalazło się tu miejsce na nawet niewielką szafę. Na ścianach było prawie pusto, gliniarz nie należał bowiem do fanów wieszania obrazów, zdjęć czy choćby krzyżyka. Jedyne nad biurkiem wbił gwóźdź, by wieszać swoją odznakę.

Na biurku panował porządek. To jedyne uprzątnięte miejsce, ponieważ tu trzymał akta spraw, nad którymi aktualnie pracował. Zazwyczaj chodziło o jedno śledztwo w danej chwili, ale czasami zdarzało się więcej, zwłaszcza gdy niektóre były ze sobą powiązane. Dziś biurko świeciło pustką, bo dzień wcześniej Feliks rozwiązał sprawę zaginięcia kobiety. Okazało się, że wcale nie zaginęła. Jej ciało spoczywało w przydomowym ogródku. W dziewięciu na dziesięć przypadkach morderstw sprawcą okazywał się ktoś z najbliższego otoczenia ofiary. I tak też było w tym przypadku: mąż zamordował żonę. „To takie banalne. Idioci nie powinni sięgać po nóż” – tymi słowami stary glina zakończył dochodzenie.

Puste biurko nie pozwalało mu spać spokojnie. Kiedy znikają z niego teczki, nie potrafił przespać całej nocy. Spokojny sen pojawiał się wyłącznie w obliczu kolejnej zbrodni, co uważał za chore, lecz jedyne to pozwalało mu jakoś funkcjonować. Dlatego nie odszedł na emeryturę, pomimo przekroczenia sześćdziesięciu wiosen został na służbie. Wiedział, co go czeka zamiast odpoczynku – żal i lęk.

Za każdym razem, gdy biurko robiło się puste, nawiedzała go sprawa sprzed lat, więc dbał o to, by zawsze trzymać na nim jakieś teczki. Nie miał jednak wpływu na to, co zrobi komendant, mówiący to samo po każdym śledztwie: „Odpocznij, przyda ci

się”; „Nikt nie powinien spędzać tyle czasu z morderstwami”. Nie wiedział, co się dzieje w dni wolne od śledztw: Feliks budził się wtedy w nocy, wystraszony i zlany potem. To w takie noce sen był jego największym wrogiem.

Telefon zawibrował i wreszcie się włączył. Na ekranie widniała godzina 2:33. Odłożył komórkę i oparł głowę o ścianę. Przez krótką chwilę patrzył w sufit, na którym – mimo panującej za oknem ciemności – dostrzegł delikatne pęknięcia. Wyciągnął dłoń, by dosięgnąć włącznika. Żółte światło zwisającej bezwładnie na kablu żarówki rozświetliło szare ściany pokoju, który w jej nikłym blasku zdawał się mniejszy niż w rzeczywistości.

Dopiero teraz, gdy z pomieszczenia została wygnana ciemność, stary policjant zdobył się na spojrzenie ku stosowi książek. Znajdowało się tam coś, czego próżno można by szukać w mieszkaniu dorosłego mężczyzny. Był to prezent, który otrzymał dawno temu – jako przypomnienie o jego porażce i zatraconej duszy. Pluszowy miś, taka niewinna i pełna ciepła zabawka. W styczniu dziewięćdziesiątego czwartego roku znalazł go przed drzwiami swojego mieszkania. Mieszkania, gdzie żył szczęśliwie z pierwszą żoną i córką. Dobrze wiedział, kto go tam zostawił, i właśnie dlatego zachował upominek.

Pluszak miał niecałe pół metra wysokości, był brązowy z różowymi uszkami i żółtym brzuszkiem. Spośród wszystkich innych tego typu miśków wyróżniał się jednym szczegółem: ktoś go ręcznie przerobił. Na mordce zamiast uśmiechu widniał ogromny smutek, a czarne oczka zastąpiono czerwonymi ślepiami. Pod łapką, z prawej strony, pozostał także ślad czarnej nitki, która nijak nie pasowała do reszty. Chociaż Feliks czuł, że powinien rozpruć zabawkę, nigdy tego nie zrobił. Przez prawie dwadzieścia pięć lat trzymał ją blisko siebie i nie pozwalał się nią bawić żadnemu ze swoich dzieci.

Misia ustawił tak, by witał go za każdym razem, kiedy gliniarz pojawiał się w drzwiach pokoju. To tutaj mężczyzna siedział

w tę bezsenną noc. Otulony kołdrą, nie ruszając nawet jednym mięśnieniem, przyglądał się maskotce i czekał, aż wstanie słońce i przerwie jego mękę. Patrzył w te plastikowe ślepie, jakby chciał znaleźć w nich żywą istotę.

„Odpocznij sobie”, pomyślał i zaśmiał się cicho, gdy na zegarku zobaczył równo trzecią. Słowa komendanta wydały mu się głupim żartem, pozbawionym sensu i humoru.

Musisz wstać – usłyszał głos w swojej głowie.

Nie był to jego głos, brzmiał inaczej, mechanicznie, jakby nie należał do człowieka. Spojrzał na misia, lecz ten, wpatrzony w niego, tkwił nieruchomo w tym samym miejscu.

– Wiem, już się podnoszę – powiedział głośno Feliks, chwytając się za głowę. Podrapał się po niej mocno i energicznie, licząc, że to go rozbudzi i sprawi, że głos więcej nie przemówi.

Wstał, po czym rzucił kołdrę na łóżko. Piżama w paski bardziej przypominała więzienny uniform niż koszulę nocną. Była długa i bawełniana, spełniała swoje zadanie, choć w bezsennej nocy nawet ona nie ogrzewała zbyt dobrze. Otworzył drzwi, a wówczas blade światło wylało się na pokój, który można by uznać za salon, tyle że nie posiadał okna i był niewiele większy od tej tak zwanej sypialni. Trzymał w nim pudła z rzeczami, dokupił niewielką kanapę i mały telewizor, stojący teraz na podłodze. Po lewej stronie miał kuchnię z lodówką, kuchenką gazową i oknem nad stołem wielkości dwóch taboretów. Nie było tu drzwi, więc światło z zewnątrz mogło wpadać także do salonu. Po prawej stronie wychodził z pomieszczenia dwumetrowy korytarz, który raczej można było uznać za część pokoju gościnnego. Na lewo znajdowało się wejście do łazienki. Umywalka często była zapełniona brudnymi naczyniami. W szafce nad nią trzymał szczoteczkę, maszynkę do golenia i inne podstawowe rzeczy do higieny. Dzięki temu, że administrator budynku zamontował – zamiast wanny – prysznic, znalazło się miejsce, by zmieścić tu pralkę, co nie było wcale takie łatwe,

a z czasem obecność urządzenia stała się uciążliwa. Wciśnięte między klozet i prysznic sprawiało, że niełatwo było usiąść na sedesie. Z jednej strony ściana, a z drugiej pralka. Za każdym razem czuł się, jakby miał być zaraz zmiażdżony – niczym Han Solo w zgniatarce śmieci w *Nowej nadziei*.

3:05. Nie opłacało się wracać do łóżka. Budzik miał przecież zadzwonić za niecałą godzinę. Miał dzień wolny, lecz ponad trzydziestoletniej rutyny nie da się wypłenić tak łatwo. Nie zamierzał odsypiać nieprzespanych lat, nawet jeśli bycie przytymnym nie przynosiło mu zbyt dużo opcji na ciekawe spędzenie dnia. Odnosił wrażenie, jakby poza pracą w ogóle nie istniał.

Na kuchence postawił do połowy pełny czajnik, a po chwili zabłysnął pod nim niebieskawy płomień. Puszka z kawą była prawie pusta, przesypał więc resztę bezpośrednio do kubka. Odpalił ostatniego papierosa, który tkwił samotnie w leżącej na linoleum obok lodówki paczce. Nie zaciągał się. Odłożył go do popielniczki, by delikatnie się tlił i zadymiał pomieszczenie. Przez prawie dziesięć lat nie spalił całego papierosa, jednak nie potrafił pożegnać się z zapachem. Lubił go. Dym, dla wielu ohydny i odrzucający, jemu przynosił wręcz ukojenie. I miał jeszcze jedno, odkryte przez Feliksa dawno temu, zastosowanie: tępił zmysł węchu. Po tylu latach pracy z trupami i wonią krwi, którą później glina czuł już wszędzie – w domu, na dworze czy w galeriach handlowych – po prostu wszędzie, nawet na posterunku, potrzebował czegoś, co go zniweluje. Dopiero po jakimś czasie do niego dotarło, że to on jest przesiąknięty smrodem zwłok, choć nikt inny go na nim nie wyczuwał. Papierosowy dym zdawał się maskować ten odór dosyć dobrze.

W kuchni dało się słyszeć delikatny gwizd, który powoli zaczął przybierać na sile, aż w końcu rozbrzmiał w całym mieszkaniu. Mężczyzna wpatrywał się w wylatującą z czajnika parę, jakby nie wiedział, że woda się zagotowała. Hałas, jaki powodował imbryk, był dla niego ledwo słyszalny, nawet świst wia-

tru byłby głośniejszy. Po krótkiej chwili wpatrywania się w parę uszy Feliksa wreszcie zarejestrowały irytujący dźwięk. Policjant zsunął się z taboretu i wyłączył gaz. Rączkę czajnika przewinał ręcznikiem kuchennym i wlał wrzątek do kubka.

Lubił ten moment, ale nie bardzo wiedział dlaczego. Moment zalewania ciepłą wodą czarnej kawy, gdy jej zapach uwalnia się i wypełnia całą kuchnię. Może to właśnie przez ten aromat? Intensywny i pobudzający. Może to właśnie on sprawiał, że poranna kawa była czymś więcej niż tylko zwykłym rytuałem przed pracą? A nie, dziś miał wolne, znów o tym zapomniał. Delikatnie przemieszał napój i odstawił kubek na bok, żeby fusy powoli opadły na dno, a kawa była gotowa do wypicia.

W kuchennym oknie nie miał żaluzji. Spoglądanie na ulice kołło nerwy, zwłaszcza po takich nocach jak ta. Nieprzespanych, tych, w które wkładał się koszmar sprzed lat. Puste ulice miały w sobie coś poetyckiego, może i nawet romantycznego. Czyż nie każda historia miłosna prędzej czy później ląduje na pustej ulicy, pod niebem pełnym gwiazd, w blasku księżyca lub świateł ulicznych latarni? Czuł ten romantyzm, lecz poznał też drugą stronę medalu. To, co zdarza się poza światłami latarni, tam, gdzie panuje bezwzględny mrok, a pusta ulica zostaje jedynym świadkiem. To w sumie nawet smutne: jedno spojrzenie za okno, a tyle emocji. Najbardziej się spośród nich przebijała się samotność.

Feliks zaśmiał się cicho nad swoim losem.

„To zabawne, że w zależności od sytuacji różnie postrzegamy tę samą sprawę lub że widzimy wyłącznie to, co chcemy zobaczyć”, pomyślał, odwracając wzrok od ciemnej ulicy. Chwycił kubek i wziął łyk gorącej kawy. Nie smakowała tak dobrze, jak pachniała.

Otworzył lodówkę. Może i nie był głodny, ale w myśl starej zasady – śniadanie to najważniejszy posiłek dnia – postanowił coś w siebie wmusić. Półki były niemal puste. Jakies warzywa, trochę wędliny, ser i karton mleka – nie najlepszy przykład pi-

ramidy żywieniowej. Może policjant nie wyglądał na rozgarniętego, ale taki był, i jedyne, czego nienawidził tak jak zbrodni, to marnowania żywności. Dlatego za każdym razem w sklepie spożywczym kupował absolutne minimum, tylko to, do czego był przekonany, że trafi na jego talerz. Śniadania często jadał w drodze do pracy lub w komisariacie, a więc w taki dzień jak ten, dzień wolny, natrafiał na pustkę. Całe szczęście, że na to też był przygotowany. Wyciągnął mleko, a z szafki nad kuchenką wydobyl miskę i płatki śniadaniowe. Wsypał niewielką ilość do miski i zalał zimnym mlekiem. Podgrzewanie go uważał za głupotę, bo płatki traciły naturalną kruchość i zamieniały się w papkę, a ta nadawała się co najwyżej do muszli klozetowej.

Kawę dopił dopiero wtedy, gdy zniknął ostatni płatek z miski i nie została w niej nawet kropelka mleka. W międzyczasie papieros zgasł, pozostawiając po sobie tylko popiół i unoszący się w kuchni zapach. Mężczyzna chwycił popielniczkę i poszedł z nią na kanapę do salonu. Postawił ją obok, po czym wziął do ręki laptop, który leżał przed nim na taborecie, służącym mu za stół do posiłków podczas oglądania telewizji.

Po włączeniu przeglądarki internetowej od razu pojawił się profil na Facebooku. Nie strona startowa, a konkretny profil. Na głównym zdjęciu była kobieta o długich czarnych włosach, a na jej barkach siedział mały chłopiec. Mógł mieć cztery, może pięć lat. Feliks mimowolnie się uśmiechnął. „Wyrosłaś na piękną kobietę, córeczko”, stwierdził w myślach i szybko posmutniał, kiedy dojrzał obok imienia nazwisko. To nazwisko panieńskie jej matki, z którą nie rozmawiał od lat. Małgorzata Szytma. A pod tym komunikat, że policjant oczekuje na przyjęcie zaproszenia. Już od kilku tygodni. Najechał kursorem na galerię zdjęć. Znów zobaczył to, co widział wczoraj wieczorem: brak fotografii w albumie. Mógł jedynie oglądać małą miniaturkę zdjęcia profilowego... Robił to każdego dnia.

Zatrzasnął laptop.

Opadł na oparcie kanapy. Wciąż była noc. Co mógł robić o tej godzinie? Otworzył znowu komputer i wolno wpisywał kolejne litery. Szytma. Wyłoniło się kilka podpowiedzi, wybrał drugą, zaraz pod profilem córki. Jego pierwsza żona i – jak to zawsze zwykł mówić – prawdziwa miłość. Justyna Szytma nosiła kiedyś jego nazwisko, lecz to było dawno temu. Galeria z fotkami nie była zablokowana. Oglądał każde zdjęcie. Widział kobietę, która wyglądała znacznie lepiej, niż pamiętał. Dzielił ją zaledwie rok od sześćdziesiątki, a zdawało się, jakby co najmniej dziesięć.

Zatrzymał się na fotografii z wesela córki, na które nie został zaproszony. Była żona wyglądała naprawdę pięknie. Już od dawna przestał sobie wyrzucać, że chciałby móc ją tulić, całować... Postawił laptopa na taborecie z włączonym zdjęciem Justyny w pięknej kreacji wieczorowej. Pragnął jej, a skoro pozbył się wyrzutów sumienia, nie poczuł się źle, wkładając rękę do spodni. Przez chwilę patrzył na fotografię, by się pobudzić, a gdy poczuł rosnącego penisa, odchylił głowę i zamknął oczy. Wyobraził sobie czasy, kiedy byli razem... Jednak mimo że ruszał dłońią coraz szybciej, czuł, jak podniecenie mija. Uniósł powieki i spojrzął na sufit.

– Super, ten też – powiedział cicho, widząc popękana i odchodzącą farbę.

Ponownie przymknął oczy, ale zanim zdążył odpłynąć myślami, w mieszkaniu rozbrzmiał dźwięk dzwonka. Zasłonił z niedowierzaniem twarz.

– Ja pierdołę! – krzyknął.

Wstał z niechęcią, ale jednocześnie odczuwał ulgę. Przeszedł do sypialni i usiadł przy ładującym się telefonie. Na wyświetlaczu zobaczył to, czego się spodziewał: komendant. Na twarz wypłynął mu lekki uśmiech.

3:37. Odebrał. Nagle poczuł w ustach coś dziwnego: jakby przez cały tydzień szedł przez pustynię, nie mając przy sobie butelki wody. Jeszcze nigdy nie zaschło mu tak w gardle, ledwo mógł coś powiedzieć.

– Halo? – odezwał się zachrypniętym głosem, co sprawiło mu nieprzyjemny ból.

– Nie śpisz?

Głos w słuchawce wydawał się podenerwowany i mocno pobudzony. Feliks pokręcił jedynie z zażenowaniem głową, zniechęcony absurdalnością pytania. Po kilkusekundowej ciszy rozmówca przemówił ponownie:

– Oczywiście, że nie śpisz, przecież odebrałeś. Kurwa... Okej, słuchaj, wiem, że masz wolne i kazałem ci odpocząć, ale jesteś nam potrzebny.

– Dobra – odpowiedział bez zastanowienia policjant, choć w myślach wyrzucił z siebie wiązkę epitetów pod adresem komendanta. Gdyby nie zmusił go do wolnego, dziś miałby wyspanego oficera, a tak... dostanie pracoholika pozbawionego wewnętrznego spokoju i maski zrównoważonego gliny.

– Nie ma czasu do stracenia, musisz jechać prosto na miejsce... – Na moment zgubił się zasięg. – Rozumiesz?

– Co? Czekaj! Coś przerwało. Gdzie mam jechać? – zapytał coraz bardziej rozbudzony Feliks, już bez suchości w ustach.

– Na rynek w Pobiedziskach. Jak tylko się tutaj ze wszystkim uporam, przyślę ci kogoś do pomocy. Wiem, że wolisz pracować w pojedynkę, ale jeśli jest tak źle, jak mi powiedziano, to wierz mi, kurwa, potrzebujesz pomocy. – W głosie komendanta przez krótki moment można było wyczuć nutkę strachu, co było prawdziwą nowością.

– Pobiedziska? Nie byłem tam od...

– Wiem, ale nie mamy wyjścia, to musisz być ty – odparł. – Prześlę ci resztę informacji – dodał i rozłączył się.

„To musisz być ty”. Słowa zaczęły wwiercać się w jego umysł i przez cały czas, gdy się ubierał, nie mógł ich wyrzucić z głowy. *To musisz być ty, to musisz być ty, to musisz być ty...* W końcu nie był to już głos przełożonego, lecz znów ten dziwny, mechaniczny.

Szybki zimny prysznic przerwał wywołaną przez komendanta karuzelę myśli. Raptem nastąpiła cisza, zupełna pustka, ale było w niej coś pocieszającego, bo dawała znak, że jeszcze nie zwariował i jest w stanie wejść w kolejną sprawę.

Czarne włosy, na których pojawiły się już białe pasma, zaczesał do tyłu. Było zimno, przynajmniej o tej porze, więc włożył jeansy, które sprawdzały się o poranku, i pogniecioną koszulkę, a na nią wiśniowy sweter. Zarzucił jeszcze skórzaną kurtkę. Był gotowy.

Wiążąc buty, przypomniał sobie o najważniejszym. Ze ściany w sypialni ściągnął powieszoną na gwoździu odznakę. Wisiała nad pustym biurkiem. Spojrzał na nie i uśmiechnął się szyderczo – jak wtedy, gdy rzuca się tekstem, który wygrywa potyczkę słowną. „Dzisiaj się zapełni” – ta myśl go uspokajała, choć w głębi duszy wiedział, jak bardzo to jest popieprzone. Dobry sen zapewniało mu czyjeś nieszczęście, ale nie potrafił się nie ucieszyć. Po prostu chciał mieć zajęcie.

Wychodząc, rzucił jeszcze spojrzenie na pluszowego misia, który znów wbijał w niego swoje plastikowe oczka.

To musisz być ty – usłyszał w głowie po raz kolejny.

– Co to, do cholery, ma znaczyć? – rzekł do siebie, lecz ciągle patrzył na pluszową zabawkę. A gdy ta nie odpowiedziała – trochę na nią liczył, co było niedorzeczne – wyszedł, zgasiwszy światło.

Telefon, portfel, kluczyki, odznaka, broń, wszystko miał. Poklepał się jeszcze po piersi i biodrach dla pewności, czy faktycznie niczego nie zapomniał, po czym – nim wybiła czwarta – opuścił mieszkanie. I to był chyba najlepszy czas, jaki do tej pory osiągnął, biorąc pod uwagę tempo ogarniania się do pracy.

Mieszkał na drugim piętrze w kamienicy, która już dawno powinna zostać zburzona, bo nie pomógłby jej nawet remont. Reprywatyzacja – kolejne piękne hasło demokracji Trzeciej Rzeczypospolitej. Jak każde dobro niosła ze sobą także chore wypaczenie, nazwane przez media dziką reprywatyzacją. Odnaj-

dujący się magicznymi sposobami spadkobiercy, sądy uznające ponad stuletnich akcjonariuszy, remonty kamienic, które doprowadzały je do jeszcze większej ruiny, niczego nie zmieniając na lepsze, podnoszone czynsze... I do tego czyściciele kamienic. On był policjantem, miał broń, spokój, był częścią systemu i prawem. Lecz to wszystko mogłoby ulec zmianie, gdyby tylko... No właśnie, gdyby tylko system nie był zepsuty. A on, gdyby tylko jego zastraszeni sąsiedzi wiedzieli, czym się zajmował, słyszałyby o wszystkich kłopotach dużo częściej. Na szczęście nie wiedzieli. Za to wiedział administrator budynku i dzięki temu jego status wraz z czynszem pozostawały bez zmian. Remonty mu nie wadziły, bo sam bywał rzadko w mieszkaniu, a do pracy wstawał, zanim robotnicy zaczęli destrukcję budynku. Jedynym minusem był brak ciepłej wody, ale po tygodniu się przyzwyczajał. Uznał to nawet za całkiem dobrą metodę rozbudzenia, zwłaszcza kiedy puszka od kawy była pusta. Mieszkał tam od niedawna – może od miesiąca – nie starał się liczyć dni. Nie zamierzał zostać tu na dłużej – i właśnie dlatego wolał nie angażować się w spory, których nie rozumie i z którymi nic nie zrobi. Odwracał więc wzrok. Nauczyły go tego lata służby.

Los rzucił go w tę dzielnicę z powodu klasycznego sporu między kobietą a mężczyzną. Sporu niełatwego do rozwiązania. Ona uważała, że zerwali, a on, że robią sobie krótką przerwę. W jego życiu miał trzy tego typu sytuacje – na dość wielką skalę – stąd dwa rozwody i aktualna separacja. Niezbyt to katolicka postawa, ale przecież z kościołem także miewał podobne rozstania. To trwało już drugi rok. Ponad siedemset dni bez rozmów z siłą wyższą – i nie czuł się z tym źle.

Po drugiej stronie ulicy czekało na niego zaparkowane auto. Jeździł Oplem Vectrą w sedanie z generacji C, choć nie produkowano ich od lat. Części były tanie, a samochód niezawodny, przynajmniej przez większość czasu. Nie palił zbyt dużo, w dodatku pomimo starego rocznika nadal prezentował się całkiem

nieźle. Był raczej przeciętny, nie dawał powodu do wstydu ani nie wyróżniał się na drodze, co pozwalało na anonimowość i nieprzyciąganie zbyt dużej uwagi, a przy jego zawodzie to ogromny plus. Matowy szary kolor dobrze maskował brud. Gdyby Feliks zgodził się ze swoją drugą żoną i kupił białe auto, pozbawiłby pojazd tej niewątpliwej zalety. Po rozstaniu przestał dbać o jego wygląd – i ten zewnętrzny, i ten w środku.

Usiadł na miejscu kierowcy. W powietrzu uniosła się chmura kurzu. Przekreślił kluczyk w stacyjce i silnik od razu odpowiedział równą melodią. Tym była dla niego praca silnika: melodią. Mimo że gówno wiedział o motoryzacji czy o tym, jak działają samochody, ten dźwięk był czymś pięknym. I to główny powód nieposiadania w aucie radia – chociaż gliniarz wiedział, że powinien od czasu do czasu słuchać wiadomości. Włączył światła, a te ukazały mokry asfalt. Jednak dopiero gdy uruchomił wycieraczki, dotarło do niego, że kropi. Zdał sobie sprawę, że siedząc przy oknie w kuchni albo przechodząc przez ulicę, nie zauważył, jak bardzo niespokojne było tej nocy niebo. Zupełnie jak on. Szyby prędko przysłoniła para z jego ust. Zanim zdążył sobie z nią poradzić maksymalnie podkręcony nawiew, wrzucił bieg i ruszył.

4:05. Zostały jeszcze dwie godziny do czasu korków na głównych ulicach Poznania. Na razie miasto dopiero budziło się do życia – przynajmniej jego część. Światła pojawiające się w oknach bloków czy kamienic, pojedyncze osoby w drodze na przystanek, przy tym mocno ziewające i spoglądające nerwowo na zegarek, i on, stróż prawa jadący poza granice stolicy Wielkopolski do miejsca, gdzie nigdy nie chciał wrócić. Tak budził się Poznań.

Minał tabliczkę z przekreśloną nazwą miasta, co dla niego oznaczało tylko jedno: nie było odwrotu. Nowa sprawa właśnie stała się realna, mimo że jeszcze nic o niej nie wiedział. „To musisz być ty”. Słowa te już wcześniej odebrały mu możliwość wyboru. Chociaż nie, zrobił to przerwany sen.

Około dwudziestu kilometrów przed Pobiedziskami zgasł prawy reflektor, a poboczne ogarnęła wylewająca się z pól i łąk ciemność. Droga była pusta, ani jednej żywej duszy.

Mężczyzna przechylił się, by otworzyć schowek. Nie miał pewności co do zawartości skrytki, więc postanowił sprawdzić, czy pośród wszystkich śmieci znajdzie się zapasowa żarówka. Grzebał tam ręką, aż paragony, papierki i skrawki gazet zaczęły wysypywać się na podłogę. Pośród nich wymacał nieotwarte pudełko prezerwatyw, jeszcze w folii, przypominające o trwającej ponad miesiąc posusze. Zatrzasnął ze złością schowek i spojrzął na drogę. Wtem po prawej stronie, jakby znikąd, pojawiła się sarna. Przez krótki moment – zanim zdążył zareagować, a ona stała niewzruszona, jakby czuła, że samochód nie zrobi jej krzywdy – myślał, że ma zwidy. Odbił w lewo, omijając zwierzę. Wtedy auto obróciło się i stanęło na skraju sąsiedniego pasa. Silnik zgasł, ale światło działającego reflektora pozwoliło mu ponownie zobaczyć to dziwne stworzenie. Mógłby przysiąc, że spojrzęło na niego i dopiero wówczas uciekło w mrok nocy.

– Kurwa... – powiedział do siebie, głośno oddychając.

Upłynęło kilka sekund, nim dotarli do niego wszystkie emocje. Spojrzął na ręce. Trzęsły się na kierownicy, choć palce mocno ją ścisnęły. Wreszcie odpalił auto i wrócił na drogę.

– Tylko tego mi brakowało. Ogarnij się – bąknął, otwierając okno i zmniejszając temperaturę nawiewu. Zrobiło mu się dostatecznie ciepło, wystarczyło jedno zwierzę na poboczu.

Minął już Biskupice Wielkopolskie, gdy dostał SMS od komendanta. Jeszcze tak dziwacznej wiadomości od niego nie otrzymał – a tych nie brakowało. Przełożony bowiem miał problem z wyrażaniem się w piśmie jasno i zwięźle, często urywał zdania, pozbawiając je sensu. Przez lata służby udało się Feliksowi złamać jego „szyfr”, więc najczęściej wiedział, o co chodziło w wiadomościach. Tym razem kompletnie jej nie zrozumiał, nieważne, ile razy by ją czytał. SMS sprawił, że mocniej wcisnął pedał gazu.

Jeźdźnia była mokra i koła delikatnie poślizgnęły się na asfalcie, ale przynajmniej krople deszczu przestały roztrzaskiwać się o szybę sedana.

I w końcu – po kolejnych minutach jazdy – pojawiła się ona, tablica z nazwą miasta. Pobiedziska. Dziesięciotysięczne miasteczko, centrum gminy rozciągającej się od Tuczna aż po Jezierce, a w niej liczne jeziora, pola i lasy. To miejsce pełne tajemnic, uroku oraz zakamarków, czekających na to, by ktoś je odkrył. Zapierające dech w piersiach magiczne krajobrazy... Aż dziw, że jeszcze nie pojawił się malarz, który uwieczniłby to wszystko na płótnie. Idealna przystań na założenie rodziny, a wszechobecny spokój przyciągnąłby nawet najbardziej zadeklarowanych miastowych, kochających metropolie i nieustający hałas. Dla kogoś o mniej kłopotliwej przeszłości, bez dzielonych z tym miasteczkiem toksycznych wspomnień byłby to dobry kątek do oderwania się od wielkomiejskiego życia.

Ogarnęło go dziwne nostalgiczne uczucie. Nagle sobie przypomniał, jak przyjechał tutaj w dziewięćdziesiątym trzecim roku. Nie widział siebie, żadne obrazki nie pojawiły mu się przed oczami – to było po prostu odczucie, choć może bardziej świadomość. Z tą różnicą, że dziś miał dworzec, jadąc wygodnie główną trasą, a wtedy musiał wysiąść na peronie. Partnerka, z którą w tamtym okresie pracował, mieszkała właśnie w Pobiedziskach, a skoro była wyższa stopniem, to jej przypadło auto służbowe. Zgarnęła Feliksa ze stacji i razem pojechali prosto do komendy. Dziś te wydarzenia były ledwie wspomnieniem, w dodatku mocno zamazanym. Tylko jedno z tamtych czasów zdawało się bardzo wyraźne. Ofiary.

W tej pracy widok zwłok to coś normalnego, wielu twierdzi, że można do nich przywyknąć. I mają rację... przynajmniej w większości przypadków.

To prawda, że służba w policji z czasem wyprała go z empatii i współczucia. Część zwłok – ich znaczna część – to zaledwie

numerki w raporcie. Nie miały dla niego ani twarzy, ani imion. Jedynie tak mógł zachować trzeźwość umysłu i nie dać się zwa-riować. Każdego dnia spoglądał w mroczne oczy ludzkiej natury i gdyby dopuszczał do siebie emocje, wystarczyłoby, żeby mru-gnął, a pochłonęłaby go ciemność. Na to nie mógł sobie pozwolić. W młodości mówiono mu, że pierwsze ciało – zbrodnię – zawsze się pamięta, że każde następne będzie mu do złudzenia przypo-minać tamto, lecz tak się nie stało. Wyrzucił je z pamięci tuż po zamknięciu śledztwa. Tak samo było z następnym i następnym. Zapomniał nawet twarzy mężczyzny, tego jedyne go faceta, któ-rego śmiertelnie postrzelił, jak też kobiety, której nie zdołał ura-tować. Rabunek – potoczył się niezgodnie z planem przestępcy. Osiedlowy spożywcza-k, ekspedientka, zamaskowany złodziej i on, wracający ze służby stróż prawa. Jedy-ny wyszedł z tego skle-pu bez szwanku – resztę zapakowano do plastikowych worków.

Nie była to spektakularna wymiana ognia niczym kadr z za-chodnich filmów akcji.

Jak każdy policjant nie zawsze mógł wrócić do domu na czas, by utulić córkę przed snem i położyć się obok żony. Po trzecim dniu z rzędu na służbie myślał już wyłącznie o jednym: żeby kupić ulubione płatki swojej córeczki i zjeść z nią przed szkołą śniadanie. Zmęczenie i roztargnienie, spokój i ulga, że skończył wreszcie służbę – to towarzyszyło mu w sklepie. Wybierał płatki w alejce, gdy do środka wszedł zamaskowany mężczyzna. Feliks nawet o nim nie wiedział, był po prostu klientem wybierającym ro-dzaj płatków śniadaniowych. Może i słyszał jakieś przekleństwa, a może i groźby, lecz jego zmęczony umysł nie przetwarzał tych informacji. Obudził się w momencie, w którym z półki zleciało jed-no opakowanie. Złodziej musiał być płochliwy albo niedoświad-czony, bo od razu pociągnął za spust. Gdy huk rozniósł się po sklepie, Feliks natychmiast zareagował, nie zawahał się ani chwili. Wystrzelił za ledwie raz w pozycji klęczącej zza półki z płatkami. Kula trafiła napastnika w głowę. Ten celny strzał zaskoczył nawet

starego glinę – na strzelnicy nigdy nie był prymusem. Następne pół godziny spędził na tamowaniu krwi u ekspedientki. Oberwała w szyję. Choć rana wyglądała na powierzchowną, krew nie chciała przestać płynąć. Życie ulatywało z kobiety z każdą chwilą, a kiedy pomoc dojechała na miejsce, już nie żyła. Mogła mieć jakieś czterdzieści lat, a zamaskowany złodziej niecałe osiemnaście. Jak się później dowiedział, chłopak był synem ekspedientki – stąd kłótnia. Musiała poznać, kto kryje się za czarną kominiarką, więc próbowała ustawić syna do pionu.

Przez kilka dni nie potrafił wyzbyć się myśli, że może gdyby nie zrzucił tej paczki na ziemię, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej... Lecz ten szczegół zachował dla siebie, wyrzucił go z pamięci po miesiącu. Poczucie winy to największy wróg policjanta, a on nie chciał się wtedy z nim mierzyć. Trudna młodość, samotna matka, zła okolica – to niektóre z wyrażań, które pojawiły się w raporcie. „Przynajmniej nikogo nie zostawiła”; „Nie musimy nikogo zawiadamiać”; „Byli sami, nie mieli nikogo”. Nikogo, nikogo, nikogo... – oto najczęściej powtarzane przez kolegów w komendzie słowa. Mieli rację. Ot tak zniknęło z powierzchni ziemi dwoje ludzi, a nikogo to nie obeszło, więc i Feliks przestał się przejmować.

Nie jeden gliniarz by się załamał, zmywając krew ze swoich rąk ze świadomością, że broń, która miała ratować ludzi, zawiodła. On nie miał czasu na załamanie, już po miesiącu został wysłany ze swoją partnerką do rozwikłania zagadki zaginięcia w małym miasteczku dwójki dzieci. Pobiedziska. Jego szef uznał, że to pozwoli mu się podnieść i odkupić winę w swoich oczach. Ale czy uratowanie jednego życia mogło wymazać grzech odebrania innego? Tego pytania nikt nie chciał sobie zadać, a raczej nikt nie chciał poznać na nie odpowiedzi.

– Jezu, naprawdę? – burknął poirytowany, gdy na sygnalizacji paliło się czerwone światło.

Zatrzymał się. Jako obrońca prawa sam też powinien go przestrzec. Ustawił się na pasie do skrętu w prawo. Widział stąd otwarty przejazd kolejowy, a za nim gładki asfalt i odnowione budynki. Zupełnie inaczej niż w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku.

Miasto monitorowane – taką tabliczkę można aktualnie spotkać w większości polskich miast. Kamery są przydatne. Wielu niezbyt rozgarniętych złoczyńców łapie się na pierwszych lepszych, roztawionych w najbardziej widocznych miejscach, ale są i tacy, którzy unikają obserwowanych miejsc, nawet tych najmniej oczywistych. Technologia czy sieć informatyczna nie zawsze rozwiążą problemy. I choć faktycznie to czasy, gdzie zbrodnie wyniesiono na nowy, wyższy poziom, bywa, że trzeba wrócić do podstaw. Do brudnej, wręcz surowej, pełnej agresji policyjnej roboty. Na ulicy nikt nie bawi się w dobrego i złego glinę, tu wszyscy są źli.

Na zamyśloną twarz Feliksa padła smuga zielonego światła. Nareszcie mógł ruszyć. Minał stację rowerów miejskich, co było niemalym zaskoczeniem. „A więc przed modą nie uchronią się nawet małe miasteczka”, pomyślał. Zwolnił – nie ze względu na tory, do których się zbliżał, ale na rozciągający się po lewej stronie lasek. Dawniej był trochę bardziej zarośnięty, lecz nawet dziś w tej zadbanej wersji wzbudzał w nim niepokój. Niemal nieruchome liście na gałęziach drzew i prowadząca w ciemność ścieżka. A wokół cisza. Cisza, która zdawała się przytłaczać bardziej niż jakikolwiek najgroźniejszy hałas. Aż się prosiło, by coś wyskoczyło z cienia. Jednak nic takiego się nie zdarzyło, natura pozostała spokojna.

Serce mu przyspieszyło, kiedy minął rogatki, a zostawił za sobą zdobywające popularność rowery miejskie i upiorny lasek. W końcu znalazł się w objęciach tego miasteczka, ostatniego miejsca na ziemi, gdzie chciałby prowadzić dochodzenie. Nic nie wyglądało znajomo, ale z drugiej strony... dlaczego miałyby tak

wyglądać? Przecież to nie budynki czy ulice zostawiły po sobie piętno, ani nawet nie ludzie, którzy mu wtedy pomagali, a którzy byli już tylko szarym wspomnieniem, dodatkiem do sprawy sprzed lat. Taki był los drugoplanowych postaci, nie liczyli się w jego historii.

4:35. O tej porze w małych miasteczkach bywa na chodnikach już sporo ludzi. W przeciwieństwie do Poznania czy innych metropolii mieszkańcy Pobiedzisk musieli poświęcać swój cenny czas na podróż do pracy, a cierpiał na tym sen. Zaspiane twarze, przez które przemawiała złość, a w myślach nieprzyjemna perspektywa zatłoczonego pociągu. Miny mówiące, aby trzymać się z dala, że to nieodpowiedni czas na rozmowę.

„O tej porze nic nie powinno się dziać, kropka. To pora, kiedy cały świat powinien spać. Bóg za cholere jeszcze nie wstał” – przemknęło przez głowę Feliksa. Był coraz bliżej centrum. Wiedział o tym – nie dlatego, że pamiętał, lecz dlatego, że zaspiane oblicza zastąpiły ożywione rozmowy. Im dalej jechał, tym więcej ludzi szło od strony rynku, z przejściem oglądając się za siebie. Zniknęły wkurzone na świat pojedyncze osoby, teraz zbierały się w grupki dyskutantów.

Zwolnił. Ludzie przechodzili przez ulicę, nie zważając na jego auto. Widocznie nowa sprawa już wzbudzała wielkie emocje u mieszkańców, a to był zły znak. Niełatwo prowadzić śledztwo w świetle kamer, dlatego zawsze trzymali wszystko z dala od prasy, jak najdłużej się dało. W erze mediów społecznościowych każda informacja mogła obejść świat w kilka godzin, a przy takiej liczbie gapiów mogło to potrwać ledwie kilka minut. Ożywienie społeczne uprzedzało, że już jakiś reporter był w drodze. Kiepski początek. Nikt nie lubi, gdy patrzy mu się na ręce.

Otwarte okno pozwoliło usłyszeć kilku głośniejszych mieszkańców. Jeden wspomniał o gwałcie, drugi o morderstwie, inny o samobójstwie... Jedno było pewne, żaden z nich nie wiedział, co się stało. Spekulacje, dziesięć różnych wersji wydarzeń. Mej-

scowa policja dobrze wykonała swoją robotę, nie dopuszczając ludzi w pobliże miejsca zbrodni. Pojawiła się nadzieja, że może jednak uda się zachować informacje z dala od blasku fleszy.

Nad budynkami unosiły się niebieskie i czerwone światła. Koledzy z poznańskiej prewencji musieli dotrzeć przed nim. Niemożliwe było, żeby tutejsza policja mogła stworzyć pokaz świateł na taką skalę, co znaczyło, że dotarła pomoc – to dobra wiadomość. Miejsce zostało już pewnie zabezpieczone, a ulice odcięte. I tak też było. Dwóch funkcjonariuszy zablokowało radiowozem wyjazd z rynku. Stali niewzruszeni przy aucie i nie pozwalali przejść gapiom.

Pobiedziski rynek otaczała jednokierunkowa jezdnia, dlatego musiał skrócić w prawo do urzędu gminy, a za nim w lewo, gdzie spotkał kolejnych dwóch policjantów. Przepuścili go po pokazaniu odznaki.

- Nie chciałbym mu zająć za skórę – skomentował jeden z nich.
- To dobrze, takiego nam tu potrzeba – odparł drugi.

Mówili coś jeszcze, ale nie słuchał. Dla niego to był nic niezna-
czący bełkot.

Poza drogą, którą tu przyjechał, do rynku prowadziły również trzy inne. Każda z nich została zablokowana. Już wcześniej to przeczuwał, ale widząc tak zmotywowane służby, stał się pewny, że to, co zobaczy, będzie bardzo brutalne. Morderstwo wiele mówi o sprawie – łatwo można odgadnąć jego motywy, jeśli tylko uważnie spojrzeć się na ciało. A on świetnie czytał ludzi, także tych nieżywych.

Zaparkował przed sklepem, który mieścił się w kamieniczce. Dojrzał na drzwiach kartkę, a na niej godziny otwarcia. Poniedziałek – sobota: 6:00–23:00, niedziela: 8:00–21:30. Wywołało to uśmiech na jego twarzy, trochę szyderczy. „Dzisiaj utargu nie będzie”, pomyślał, odwracając wzrok. Chwycił telefon i znów otworzył wiadomość od komendanta. Tym razem na spokojnie czytał każde słowo i nagle się okazało, że SMS był całkowicie

czytelny, jakby napisany przez kogoś innego. Każde zdanie zakończone, pozbawione błędów ortograficznych i w dodatku z kropkami. Wydało mu się to naprawdę dziwne.

Patrol odkrył miejsce zbrodni, nie wiemy, ile jest ofiar. Nie dostaliśmy informacji o płci, wieku ani czy w ogóle są jakieś zwłoki. Policjanci, którzy byli pierwsi na miejscu, nie bardzo potrafili się wystawić. Przygotuj się na wszystko. Czekaj na techników. Nie daj im zdeptać śladów, ogarnij to! Przesłuchaj tych z patrolu, sprawdź monitoring, resztą wiesz, jak to działa.

Poprosiłem o pomoc dla Ciebie.

Schował komórkę do kieszeni i wysiadł z auta. Rozejrzył się po rynku – cały był dla niego miejscem zbrodni. Dojrzał kilku policjantów, jeden z nich machnął do niego. Wieszając odznakę na szyi, ruszył przed siebie.

„To musisz być ty” – co komendant miał wtedy na myśli? SMS niczego nie wyjaśnił, jedynie przedstawiał sprawę, a może nawet jej brak. Czy to jego związana z tym miastem przeszłość była powodem wysłania go tutaj w środku nocy? W dodatku podczas wolnego. To nie miało sensu.

Szedł, bijąc się z własnymi myślami, jakby był zdolny wyjaśnić powody postępowania przełożonego. Co on sobie wyobrażał? Przecież mógł wybrać każdego z jego komendy – byli tam lepsi od niego, młodszy i sprawniejszy, a ponadto niektórzy z nich wierzyli jeszcze w skuteczność prawa.

I raptem wszystko stało się jasne – znalazł powód. Przeszłość właśnie go dopadła i wyglądało na to, że na dobre.